

Jerzy Jarzębski

Kilka zdań o wstydzie istnienia

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (10), 1-4

1991

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

4
1991

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Kilka zdań o wstydzie istnienia

PROBA

*Oj tak, piosenko, szydzisz ze mnie,
bo choćbym poszła górą, nie zakwitnę różą.
Różą zakwita róża i nikt inny. Wiesz.*

*Próbowałam mieć liście. Chciałam się zakrzewić.
Z oddechem powstrzymanym — żeby było prędzej —
oczekiwałam chwili zamknięcia się w róży.*

*Piosenko, która nie znasz nade mną litości:
mam ciało pojedyncze, nieprzemienne w nic,
jestem jednorazowa aż do szpiku kości.*

PRZEMÓWIENIE W BIURZE ZNALEZIONYCH RZECZY

*Straciłam kilka bogiń w drodze z południa na północ,
a także wielu bogów w drodze ze wschodu na zachód.
Zgasło mi raz na zawsze parę gwiazd, rozstap się niebo.
Zapadła mi się w morze wyspa jedna, druga.
Nie wiem nawet dokładnie, gdzie zostawiłam pazury,
kto chodzi w moim futrze, kto mieszka w mojej skorupie.
Pomarło mi rodzeństwo, kiedy wypelzłam na ląd
i tylko któraś kostka świętuje we mnie rocznicę.
Wyskakiwałam ze skóry, trwonilałam kręgi i nogi,
odchodziłam od zmysłów bardzo dużo razy.
Dawno przymknęłam na to wszystko trzecie oko,
machnęłam na to pletwą, wzruszyłam gałęziami.*

*Podziało się, przepało, na cztery wiatry rozwiało.
Sama się sobie dziwię, jak mało ze mnie zostało:
pojedyncza osoba w ludzkim chwilowo rodzaju,
która tylko parasol zgubiła wczoraj w tramwaju.*

Numer poświęcony Poetce godzi się rozpocząć poezją — nawet jeśli wprawi nas ona w konfuzję. Bo drugi wiersz zda się być zaprzeczeniem pierwszego: jestże Szymborska „jednorazowa aż do szpiku kości”, czy może właśnie na odwrót — w jej „pojedynczości” streszcza się historia wszystkich gatunków? Co więcej — w obydwu wierszach Szymborska jest prawdziwa, zgodna ze sobą; bo ona jest i taka, i taka: jej poetyckie „ja” to zacieśnia się, znajduje swe granice blisko, odpychając od siebie to wszystko, czym nie jest i być nie może, to znów nie umie oddzielić siebie i swoich spraw od wielkiego dramatu życia, w którym uczestniczy — maleńkim niczym skorupiak wyrzucony na brzeg przez oceaniczną falę.

Sytuacja owego „ja” jest co się zowie tragiczna i ironiczna zarazem: skończone, krótkotrwałe jak mrugnięcie powieki, słabiutkie — udźwignąć musi rozmaite filozoficzne ogromy i nieskończoności, a przy tym ufundowane zostało na czymś w swej najgłębszej zasadzie obcym, na substracie materialnym, z którym porozumieć się nie łatwiej niż z owym sławetnym kamieniem z wiersza. „Ty tu płaczesz, a tam tańczą. | A tam tańczą w twojej łzie”. Kto tańczy? Wodór z tlenem, swawolne pierwiastki, którym nic do ludzkich zmartwień czy uniesień.

Historia świadomości splata się z historią materii w ogóle na sposób paradoksalny: bo przecie „przegrała dłoń do rękawicy” („Muzeum”) — przedmioty zatem są silniejsze, trwalsze od ich właścicieli, ale zarazem możliwa jest „zemsta ręki śmiertelnej” („Radość pisania”), tzn. zestrój wyobrażeń, wcielona w język fikcja lub ulotne wrażenia przetrwa dłużej od rzeczy i odradzać się będzie w nieskończoność poprzez wieki — ciągle świeże, młodzieńcze niczym w dniu narodzin.

Losem poetki będzie więc stale — znajdować się p o m i ę d z y. Niby jest tutaj, a marzy o przeszłości, wyraja się jej jakiś krajobraz dyluwialny, odzyskują głos i ruch postacie ze wspomnień i fotografii. Niby tkwi, skończona i materialna do szpiku kości, w swej ludzkiej skórze, ale też przechowuje w sobie pamięć ewolucji: ręka pletwą się jej zdaje, palce czują jeszcze dotyk puszystego futra. A język, gest, wszystkie święte znaki? Cokolwiek uczyni, już w nicości zjawia się jakiś embrion kształtu, sensu, coś czego n i e m a, przecież j e s t — i jest ważne. „Byt i Nicość”

— oczywiście można by powiedzieć, że Szymborska jest „egzystencjalistką” i jakaś prawda w tym się mieści. Ale egzystencjalistką jest lepszą jak gdyby od filozofów–teoretyków, bo cała jest zanurzona w osobistym, namacalnym przeżyciu owej filozofii, ukazująca się w procesie przemiany, przejścia, wcielania się, półurzeczywistnienia, między przeszłym, teraźniejszym i przyszłym, między doskonałością idei a nędzą materialnego bytu, mającą gdzieś, w jakimś nieokreślonym punkcie statystycznego tłumy.

W salonie polskiej poezji Szymborska jest na pewno pierwszą damą, ale — jak każda arystokratka z ducha, a nie tylko z tytułu — zdaje się być swą rolą nieco zakłopotana. I rzecz nie tylko w tym, że w uroczystą celebrę własnej osoby wchodzi „w tych butach z Chełmka / tupiąc, skrzypiąc” („Trema”); jej zawstydzenie ma bardziej filozoficzne korzenie. Czuje się niewygodnie w swej skórze jako człowiek nasłuchujący brzękania łańcuchów „małp Bruegela”, jako dorosła, pozbawiona złudzeń kobieta, odpędzająca wspomnienie siebie — naiwnej, czystej w uczuciach dziewczynki, jako jednocześnie zarozumiała i pełna kompleksów spadkobierczyni kopalnych gadów i mieszkańców jaskiń, jako wreszcie naznaczony dziwaczną, ludzką osobliwością byt wśród innych bytów. Jest w jej poezji tak, jak gdyby suma owego zakłopotania własnym istnieniem i atrybutami wzrastała proporcjonalnie do sumy n i e i s t n i e n i a wokół, próżni po tych, co byli i minęli, próżni po odmiennych, nie zrealizowanych formach bytu, wreszcie tej nicości intymnej, podatnej, którą wypełni dopiero nasz własny gest, mowa, śmiech. Pewnie lepiej byłoby móc mówić — jak owa kobieta z „pejzażu starego mistrza”:

Znam świat w promieniu sześciu mil.
Znam ziola i zaklęcia na wszystkie boleści.
Bóg jeszcze patrzy w czubek mojej głowy.
Modłę się jeszcze o nienagłą śmierć.

Wojna jest karą a pokój nagrodą.
Zawstydzające sny pochodzą od szatana.
Mam oczywistą duszę jak śliwka ma pestkę.
[„Pejzaż”]

Pewnie lepiej zatem byłoby mieszkać w świecie zwartym, wypełnionym ściśle drobnymi pociągnięciami pędzla, tak samo jak krótkie, oznajmujące zdania wypełniają wersy poematu; w świecie ducha niesprzecznego z materią i Boga czuwającego nad mechanizmem rzeczywistości z troskliwością

równą tej, jaką mężczyzna z zakończenia „Pejzażu” poświęca reperowanemu zegarowi. Ale nic z tego. Świat Szymborskiej pełen jest nicości zawstydzającej sobą Istnienie, jest ciemny, niejasny, stronniczy i grzeszny — choć czasem nie wie, przeciw czemu grzeszy i z jakiego niebytu swą materialnością się natrzęsa. A sama poetka? Nie umiem myśleć o niej inaczej, jak o Damie — i może w innej epoce byłaby cyzelatorką wykwiutnych poetyckich zdań. W naszej epoce przypomina raczej dobrze urodzoną pannę, która w czas wojny wybrała zawód sanitariuszki i dlatego dotykać musi rzeczy nieprzystojnych, czasem strasznych, czasami odbierających wiarę i nadzieję. To wszystko, całą tragikomedię ludzkiej egzystencji i rozmaite „dna piekiel”, które przyszło jej zwiedzić, opisuje następnie językiem pełnym umiaru i precyzji, delikatnej ironii i logicznych paradoksów — tak jakby za żadną cenę nie chciała, w obliczu szaleństwa czy głupoty świata, zrezygnować z własnej, tylekroć przez samą siebie wyśmianej, tożsamości.

„Jednorazowa”, „nieprzemieniona w nic” Szymborska jawi się później w swej poezji cudownie pomnożona, ogarniająca swoim „ja” całość bytu — ale może tym silniej czuje odpowiedzialność za własne istnienie, za swoich zmarłych — i może też owo intrygujące Nic, z którego wyłoniła się wieczną zagadką ciała i wiecznym głodem umysłu.

Jerzy Jarzębski